

— Czego pani chce?
— Tylko tysiąc dolarów — odezwał się głos panny Brown.
— Co? jeszcze pani chcesz pieniędzy? Kiedyż się to skończy?

Stuart podniósł rękawiczkę, pod drzwiami w korytarzu, leżącą, nie słuchał dłużej, uśmiechnął się i szepnął: „O, ty piękna czarownico! Nie uda ci się wywieść w pole Stuarta!”

XVI.

SENNOR CASTRO.

Polec na przez nauczycielkę śpiewu, umieszcza się Leonora u jej przyjaciółki pani Horne.

Była to kobieta dobrze ułożona, nawet do pewnego stopnia z wykreśleniem formami towarzyskimi, co dla Leonory bardzo było pożądane i mile. Jedno tylko zżać mogło do niej a mianowicie, iż zajmowała się kabalarstwem i wróżyła, ale tylko osobom z najlepszego towarzystwa.

Leonora miała tam dwa pokoiki i to wielką wygodę, że przechodziła przez dziedziniec do mieszkania swej nauczycielki, nie potrzebując pokazywać się nikomu. Oba d m, cho iaz na innych ulicach, stykały się ze sobą dziedzińcami.

Za namową panny Harris sposobiła się Leonora na scenę. Śpiewaczka wiedziała dobrze, jaką będzie miała korzyść jeżeli osobę tak postawną i piękną na scenę wprowadzi. Zyski będą i od uczennicy i od dyrektora teatru. Leonora zgodziła się na to i z prawdziwym zamiłowaniem poświęcała się sztuce.

Przez kilka tygodni zażywała zupełnego spokoju, oddzielona od świata. Czuli się zdrowszą, i lekko i nawet zupełnie uspokojoną, aż pewnego razu zapragnęła nauczycielka wziąć ją z sobą do teatru. Leonora opierała się temu, lękała się, aby jej nie o znano.

Panna Harris nastawała bardzo, bo to był występ znakomitej śpiewaczki, a więc dla Leonory korzyść wielka. Z pewnością też, że będą miały taką zaciśniętą łóżę, w której nikt ich nie zobaczy, prócz dyrektora teatru. I stało się wreszcie, że poszły na przedstawienie.

Mimo, że nikt ich nie widział z publiczności, naprzeciwko siedział w swym łóżu nie tylko sam dyktor, ale dwaj leżnani panowie i wszyscy trzej nie spuszczały Leonory z oka.

— Kto to tam naprzeciwko? — zapytał dyktor teatru jeden z jego gości.

— To dawna śpiewaczka, a obecnie nauczycielka śpiewu Harris ze swą uczennicą. Ma to być wielki talent.

— Tak? A gdzie mieszka?

— Co tego, to już nie wiem.

— Szkoła! Gdybym miał jej adres, mógłbym jej pomóc do znalezienia się, a kiedyś wyszukał dla niej znakomite angagemnt. Może pan sobie teraz przypomni, gdzie mieszka?

— Ależ upewniam, że nie wiem — odpowiedział dyktor cokolwiek niechętnie.

Z prasał niekiedy do swej łóżby walców w teatralnych, ale nie tylko ni ułatwiał im osunków z personelem teatralnym, lecz nawet ściśle nad tem czuwał, aby jego teatr był tylko artystyczną instytucją.

Siropiony odmową dyrektora czyhł natrętny ciekawiec na swoje vis à vis i skoro tylko kurtyna zapadła, już dotarł w pobliże Leonory i krok w krok szedł za nią. Panna Harris dostrzegła tę pogon i dla tego nie odprowadziła Leonory pod dom, gdzie było jej mieszkanie, jeno zatrzymała się przed własnym. Ścigający dowiedział się zatem o mieszkaniu nauczycielki, a nie uczennicy.

Tak był zajęty pościgiem, że nie spostrzegł, jak za nim uoczywie idą te dwóch młodych ludzi i d piero w tydy się z trzymali, gdy stanął u bram swego mieszkania. Ci dwaj nie znali się i dlocnie, bo rzeszli się każdy swoją drogą, nie witając się, ani żegnając. A jednak łączący ich wspólny cel: baj śledził Bradmardina, nie wiedząc o tem, każdy z innego powodu. Byli to: Jocelyn i Francis Ferrers.

Przedstawienie w teatrze nie sprawiło jej przyjemności.

Z obawy, aby jej kto ze znajomych nie zobaczył, nie mogła ani słuchać spokojnie, ani patrzeć na scenę. Pościg nieznanego, który aż do mieszkania ją śledził, jeszcze bardziej podniecił zaniepokojenie. Nie miała chęci do snu; siedziała przy kominku i myślała o przyszłości, to znowu rozpamiętywała penurę przeszłości. Dokładała do ognia drewienko po dre-

wienku, aż dotarła do dna koszyka i tu zobaczyła niedodaną gazetę. M chinalnie wzięła ją w rękę i wyczytała: „Ucieczka w dniu ślubu. Zamordowanie pana młodego przez żonę”.

Siruchlata. Spogląda w zadrukowany papier, czyta, oczom nie wierzy; może to sen, złudzenie, przywiłnienie. Ona posadzona o zamordowanie Artevelde! Artevelde zamordowany! Od owej weselnej bielszady nie czytała dzienników, nie stykała się z ludźmi, nie wiedziała nic zgola, co się tam stało potem, gdy odesła.

Teraz czyta szerokie opisy mordu i dowiaduje się, że ją o mord posadzają, że ją ścigają, że wyznaczono nagrodę za ujęcie zbrodniarki.

Uciekała, kryła się, ale przed mężem, przed znajomymi, kryła się też dlatego, aby dochować przysięgi umierającej matce, która jeszcze ostatnie technienia wydając, lekała się o dziecko swoje. Lękała się, aby jej nie odkrył chciwy miljonowego spadku Bradmardine i życia nie pozbawił, więc zażądała przysięgi, że Leonora nie odsłoni przed nikim tajemnic rodzinnych i zachowa przybrane nazwisko.

Unikała ludzi, policji, bo jej się zdawało, że śledzą, szuają jej z ramienia prześladowcy, o którym od matki słyszała.

Teraz posadza o tak straszną zbrodnię! Nie! to sen, złudzenie! I znowu odnosi gazetę i znowu czyta i krew się jej ścina, przed oczyma ciemno, traci siły, pada zemdłona. Kilka godzin przeżyła jakby w letargu. Zbudziła się zaczęła skupiać energję, myśleć nad tem, co teraz począć? Iść śmiało do policji, wykazać swoją niewinność — to byłoby najlepiej. Ale przysięga złożona umierającej matce! A czy jej uwierzą? Jakże udowodni, że jest niewinna? Nie, lepiej uciekać, ukryć się daleko!

Powziawszy takie postanowienie, chciała zwierzyć się ze wszystkiem pannie Harris i wyczerkiwała niecierpliwie końca nocy, zeszennie spędzonej. Nadeszła godzina poranna, w której panna Harris zwykła na lek je przybywała. Dzisiaj nie przyszła. Leonora niecierpliwie się oczekuje.

Śpiewaczka spóźniła się, bo miała niezwykłego gościa.

Był to mężczyzna okazały, elegancki, z wejrzemieniem przenikliwym, ale bardzo i inteligentem. Przedstawił się, jako Sennor Castro z Kuby.

Mówił, że objął dyrektora i at u w Hannie, że go chce wspaniale zorganizować, że w tym celu przybywa tu, aby wyszukać najlepsze sły sceniczne.

— Oczywiście — mówił Sennor Castro — że ni tylko zdolności artystycznych, ale i odpowiedniej powie zchowności domahać się muszę od kandydatek do sceny. Osoba piękna, okazale zbudowana, mająca wiele wdzięku i d słykcji, mogłaby liczyć na warunki bardzo korzystne. Stosunki pani, stawa jej szkoły, pozwalają mi się domyślać, że mógłbym znaleźć wielką pomoc u pan w angażowaniu personalu scenicznego. Oczywiście, że gotów jestem złożyć sowitą prowizję.

Panna Harris zadowolona była z tej propozycji, obliczając korzyści. Sennor Castro zapłacił, uczęsnica niezawodnie też będzie wdzięczną; ale stracić za to uczennicę! Ta myśl zniewoliła ją do namysłu.

— Pomyślę nad tem, rozważę, rozpatrzę się z uczennicami, pomówię z nimi, a wieczorem dam pan na odpowiedź.

Po odejściu Kubańczyka pospieszyła do Leonory i powiedziała o wszystkim. Była pewną, że Leonora chyba tylko z wielką trudnością dałaby się nakłócić do przyjęcia angagemnt, więc zdziwiła się niezmiernie, gdy od razu skłoniła się do tego i to z widocznym zadowoleniem.

Oczywiście, że Leonora spadła ta propozycja jak z nieba, sko postanowiła czemprejzjej opuścić Chicago, ale pannie Harris żal było jakoś dla jednorazowej prowizji postradać uczennicę, za którą później sowtego wynagrodzenia spodziewać się mogła od każdego dyrektora teatru. To też wieczorem, gdy przyszedł sennor Castro, zbywać go zaczęła, wymawiała się tem i owem. Wtedy Kubańczyk powiedział, że zaangażuje nie tylko uczennicę ale i nauczycielkę.

— Byłoby to dla mnie prawdziwym szczęściem, gdyby pani przyjechała w moim teatrze kierunek naczelną w szkole śpiewu oplekę nad całą wokalną częścią teatru. Honorarium gotów jestem ofiarować stanowczo większe, niż te dochody, jakie pani ma ze szkoły.

To przekonało pannę Harris.

Ugodę zawarło, podpisano. Sennor Castro podał ten warunek, aby obie panie zaraz na jutro przeniosły się do jego siostry, gdzie zbiorą się wszystkie zaangażowane osoby i razem wyjadą.

XVII.

TRUCIZNA.

Neil Stuart zarosł Duranda do swego mieszkania i rozmowę w sprawie bardzo poważnej. Nie zdziwił się Durand zaproszeniem, bo go na to Stuart przygotował, widząc się z nim ostatnim razem.

— Zawód mój następcza mi tysiącne sposobności postrzegania tego czego nie widzą inni, niech więc pana nie dziwi, że odkrywam coś takiego, co się ani wurost niemożliwym wyda — mówił Stuart.

Durand z niepokojem wysłuchał tebo wstępu i nie ógl nawet niepokoju utić.

— Niechże pan słucha spokojnie, po męsku. Jeszcze niema nie częścią i uniknie go pan z pewnością, posłuchawszy mej rady.

— Ależ, mnie to przeraża! — rzekł drżącym głosem Durand.

— Po tarzam panu, że niema jeszcze żadnego nieszczęścia i właśnie po to pana zaprosiłem do siebie, abyśmy się swobodnie naradzić mogli, jak go nadal uniknąć. Czy pan mi ufa?

— Najzupełnie.

— A więc proszę z całą ufnością wysłuchać mnie i z całą szczerością udzielić mi odpowiedzi. Odkąd i pa na Brown wyprowadziła się z domu państwa?

Panna Brown? Czyżby ona coś złego?

— A eż spokojnie. Kiedyż panna Brown opuściła sw towarzyszy?

— Jakoś przed trzema miesiącami, na kilka dni przed wyjazdem Lanry do New Yorku.

— Jak długo panna Laura w New Yorku przebywała?

— Prawie przez dwa miesiące.

— A odkąd to pańska żona choruje.

— Jakoś na tydzień przed powrotem Laury zaciębiła się bardzo i od owego czasu wciąż zapada zdrowiu.

— Radzę panu wywieść stąd żonę natychmiast.

— A to dlaczego?

— Bo wśród tego otoczenia, w którym się znajduje i dwóch miesięcy nie dożyje.

— Co pan mówi? co to wszystko znaczy? — zawołał Durand ze zdziwieniem i wpatrzł się bystro w Stuarta.

— To znaczy, że żona pańska zażywa truciznę i na powolne zatrucie umrze.

— Panie! to wprost niemożliwe, pan się myli, to przywidzenie!

— Nie, panie Durand, nie mylę się. Weź pan ten flakonik i daj zbadać chemikowi płyn w nim zawarty, a potem wezwij pan rady lekarskiej.

— Skąd pan wziął ten flakonik.

— Ze stolika, z pokoju pańskiej żony, właśnie wtedy, gdy ją na życzenie pańskie odwiedziłem.

— To jakaś strasza zagadka.

— Nie dla mnie.

— Więc to trucizna?

— Tak panie, trucizna ostra, wprost zabójcza...

— Jakże pan wie o tem?

— A toć przecież wzięwszy flakon, dałem płyn zbadać, rozebrać chemicznie. Czyż możesz pan przypuścić, abym na własny domysł pana przerażał?

— A skąd to panu wpadło na myśl, podejrzewać truciznę w pokoju mojej żony?

— Ależ to rzecz bardzo prosta. Miałem już kilka wypadków takiego powolnego zatrucia osobą, której pozbyć się chciało, bez zgłoszenia, bez ścignięcia na siebie podejrzenia. Owe osoby chorowały tak zupełnie, jak pańska żona cierpiała wśród takich samych objawów patologicznych.

— Któż się tu dopuszcza tej zbrodni.

— O tem dowie się pan cokolwiek później; tymczasem proszę tylko mnie zostawić tego zbrodniarza.

— Boże! Boże! jakie to straszne! — zawołał Durand, zalamując ręce.

(Ciąg dalej nastąpi).